№ 50. Warszawa, dnia 30 Listopada (12 Grudnia) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym roku **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora Kłopotów starego Komendanta, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 10, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobroduszności, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

VON MOLKEN.

Powiastka Adolfa Dygasińskiego, Warszawa, nakładem księgarni A. W. Gruszeckiego, 1886 r.

Pan Adolf Dygasiński rozpoczął zawód pisarza artysty, wiązanką nowell, które zjednały sobie od razu powszechne uznanie.

Zdawałoby się, że idąc dalej w wytkniętym przez siebie, a dość nowym u nas jeszcze kierunku, powinien tworzyć rzeczy coraz lepsze, coraz doskonalsze.

Zdawałoby się, że ktoś, co tak, jak Dygasiński, ukochał niemą, a jednak tak wymowną pod piórem zdolnego artysty przyrodę, że wyborny znawca i znakomity malarz zwierząt, będzie umiał wniknąć i w tajniki natury ludzkiej.

Okazało się jednak, że psychologia zwierzęca a człowiecza, to dwie bardzo odmienne nauki.

Bo oto zabrał się Dygasiński w ostatniej swej powiastce p. t. *Von Molken* tylko do ludzi i nie odpowiedział oczekiwaniom, jakie rozbudziły słusznie jego „Nowelle".

Hrabia Albert Lutowojski miał dwóch synów, jednego z prawowitą swą małżonką, Olimpią, z książąt Zbrojomirskich, drugiego ze śpiewaczką włoską, niejaką Julią. Pierwszemu było na imię Zigi, drugi nie nazywał się zrazu wcale.

Syn śpiewaczki Julii, opuszczony przez matkę, tułał się długo po dworskiej kuchni hrabiego, aż się nad nim hrabina po śmierci swego męża ulitowała za przyczyną zacnego księdza Rodowicza i wzięła go do pałacu.

Służba nazywała chłopczyka Majcherkiem. Imię to zostało mu przez długi czas.

Dopiero kiedy hrabina wysłała swego syna, Zizi, razem z dzieckiem Julii, pod opieką guwernera francuzkiego, Michela, do Paryża „na edukacyą", trzeba było pomyśléć o jakiem nazwisku.

Nominacyą tę rozpoczął Michel, któremu wymówienie słowa Majcherek sprawiało dużo trudności, więc wołał na chłopca Molken! Reszty dokonał nauczyciel niemiec, dodawszy do wymyślonego przez ochmistrza miana określenie szlacheckie „von", znaczące tyle, co francuzkie „de". W ten sposób powstał bez dyplomu cesarskiego,

bez pracy heroldyi nowy ritter teutoński, pan von Molken.

Mimo wszelkich usiłowań Michela i wielu profesorów, nie robił hrabia Zizi żadnych postępów. Chłopak nie chciał się uczyć, marząc tylko o podróżach, awanturkach i tym podobnych zabawkach próżniaczej młodości.

Za to pracował von Molken z przyjemnością i z wielką dla siebie korzyścią. Uczył się i nauczył się dużo ku pociesze nauczycielów, którzy mawiali, że tylko przez wzgląd na niego udzielają lekcyi i hrabiczowi.

W podróży bawił się Zizi, a von Molken rozglądał się uważnie, przypatrując się wszystkiemu co było dla niego nowością. Gdy zatrzymali się gdzie dłużej, dopełniał syn Julii wiedzę swą czytaniem, a posiadając po matce wrodzony talent muzyczny, nie zaniedbywał i skrzypiec, które lubił.

Wszystko składało się na to, aby z Majcherka wyrósł jaki wielki artysta lub uczony.

Inaczej się jednak stało.

Hrabia Zizi, zazdroszcząc swemu nieuznanemu bratu zdolności, znienawidził go i napierał się tak długo, aż hrabina odwołała von Molkena z obcych krajów.

Wróciwszy do Pałek, do dziedzictwa Lutoszyńskich, zajął się Majcherek uporządkowaniem biblioteki swej dobrodziejki, a w chwilach wolnych romansował z kim się dało. Uprzykrzywszy się wskutek tego plenipotentowi hrabiny, panu Hałastrowiczowi, musiał opuścić Pałki i ruszyć w świat.

Niedaleko poszedł syn Julii, bo tylko do najbliższej mieściny, do Działoszyc. Tu zakochał się w córce Goldglücka, aby zapomnieć o niej bardzo rychło, tak samo, jak o swych romansach wiejskich.

Z Majcherka, który tyle zapowiadał, robi się w dalszym ciągu prosty włóczęga, obdartus, próżniak, trawiący całe dnie na bezowocnej gadaninie, w końcu waryat, którego miasto Działoszyce wraz z gminą Pałki umieszczają w szpitalu.

Zamknąwszy ostatnią książeczkę Adolfa Dygasińskiego, pyta czytelnik: czego chciał autor, co odmalował, co odtworzył?

Mimo bowiem wszelkich teoryi o t. zw. objektywnej sztuce, spoczywa na dnie każdego dzieła jakiś cel, który był dla twórcy w ciągu pracy drogowskazem. Staranniejsze lub mniej zręczne ukrycie tej tendencyi jest tylko rzeczą techniki pisarskiej, wytrawności artystycznej.

Gdy ktoś opisuje: kota, lisa, kwiatek, dzbanek i t. d., to pytamy: odtworzyłże dobrze te zwierzęta i przedmioty? A w rysunku ludzi żądamy przedewszystkiem prawdy psychologicznej.

Do jakiej kategoryi ludzi należy ten von Molken? Kto on jest? Dlaczego zapowiada z początku wiele na przyszłość, a potem wiedzie żywot bezmyślny, pospolity? Dlaczego dostaje w końcu obłędu?

Osnowa powieści nie odpowiada nigdzie na powyższe pytania?

T. J. Choiński.

(*Dokończenie nastąpi.*)

BAWCIE SIĘ DZIECI.

Bawcie się dzieci!
Pójdźcie na łąkę świeżą, zieloną,
Kędy kwieciste barwy już płoną,
Wiosenne słonko niech wam zaświeci,
Niech was otoczy motylków grono:
Bawcie się dzieci!

Cóż wam do tego, że tam zdaleka,
Żałobne szaty ziemia obleka,
Że łza cierpienia gdzieś z oczów płynie,
Że ciernie krwawią stopy człowieka,
W ciemnej gęstwinie?

Cóż wam do tego, że w innej stronie,
Wiecznej tęsknoty żar w piersi płonie,
I nieraz skargą w niebo uleci?
Że piosnka dźwięczy gdzieś w smętnem łonie,
Bawcie się dzieci!

Cóż was obchodzi boleść i nędza,
Co niejednemu sen z powiek spędza,
I czarnych myśli zwołuje mary;
Cóż was obchodzi ta ciągła przędza,
Cichej ofiary?

Cóż was obchodzi, że waszą nogą,
Kwiatek zdeptany więdnie nad drogą?
Co tam, kwiat jeden mniej albo więcej!
Łąki wam takich dostarczyć mogą,
Setki tysięcy!

Cóż was obchodzi, że z bólu kona,
Robaczek przez was śpilką przekłuty?
Ziemia nie zadrży przez to strwożona,
I nie wyrzuci z piersi miliona,
Przekleństwa nuty!

Żadna się skarga nie ozwie krwawa,
Skrzywdzonych istot dociekać prawa,
Zdeptane kwiaty rzucić do śmieci:
Dla innych smutek dla was zabawa;
Bawcie się dzieci!

Emilia.

PRZEZ CIERNIE I GŁOGI.

OPOWIEDZIAŁ

Z. Grabowski.

(Dalszy ciąg.)

II.

Nazajutrz, około jedenastej rano, posługujący mi lokaj państwa N., od których odnajmowałem dwa małe pokoiki, wręczył mi wizytową kartę, oświadczając, że jakiś pan życzy sobie mówić ze mną.

„Ernest de Courcy"

wyczytałem na kartce bileciku.

Za chwilę witałem już, niespodziewanego gościa.

Był bardzo blady, jakby znękany. Usiadł i przystąpił wprost do rzeczy.

— Mało się jeszcze znamy, mam jednak do pana tyle zaufania, że ci ochotnie powierzę tajemnicę naszego smutku — rzekł cicho. — Spostrzegłeś pan już zapewne, że choć w naszym domu miliony, ale szczęścia i za szeląg nie ma.

— Uważałem tylko, że macie zmartwienie.

— I wielkie, a spowodowała je .. Helena. Dla niej oddalibyśmy chętnie sto tysięcy za jeden uśmiech wesoły, a tego uśmiechu wywołać trudno, znikł z jej lica razem z *nim* i jak *on*, znikł bez śladu.

— Już raz wczoraj, wypadkowo, słyszałem z ust panny Heleny ten wyraz *on*, gdy grałem pieśni nasze, nie rozumiem jednak...

— Zaraz zrozumiesz, a także i ogrom przysługi jaką byś nam mógł oddać może.

— Rozporządzaj pan mną! — odparłem. — Winienem ci wiele wdzięczności; radbym tedy zapłacić dług święty.

— Nic mi nie jesteś pan winien, nic zgoła; owszem, ja tobie, choć chwilowe ożywienie się mego dziecka. Kwiatek ten więdnie widocznie. Lekarze robią mi słabą nadzieję. Radzili zmianę klimatu; cóż kiedy Helena ruszyć się ztąd nie chce. Lecz posłuchaj jak do tego przyszło.

„Kazałem podać cygara i maderę, de Courcy zapalił jedno z nich, umoczył usta w szklance napoju i zaczął w te słowa:

„Przed dwoma laty, jak teraz, jesień miała się ku schyłkowi. Listopadowe powietrze nieznośnem jest u nas w Paryżu. Wiatr z deszczem uderzał w okna, wstrząsając ramami, silny ogień na kominku w mym gabinecie, nie mógł wypędzić dojmującego zimna i wilgoci. Niebo było zachmurzone, a choć już dziesiątą rano odbiła była dawno, panujący mrok zmusił mnie do zawołania o światło.

„Wchodzący sługa przyniósł mi razem z lampami i wizytową kartę. Spojrzałem na nią i zaledwie zdołałem przesylabizować litografowane nazwisko, obce mi zupełnie, cudzoziemskie do tego:

„Leon Różański"

„Dzień ów jednak, choć chmurny i może niepomyślny dla wielu i wielu źle usposabiający, na mnie nie zrobił wrażenia. Poranna nawet poczta przyniosła mi bardzo pomyślną nowinę. Dłużnik na którego rzetelność zupełnie nie liczyłem i nawet winną kwotę, jeszcze przed rokiem poleciłem, jako straconą, wykreślić z mych ksiąg zupełnie, w dobrym przekazie z Martiniki na bank nasz narodowy, przesyłał mi 50,000 franków jako pierwszą ratę w trójnasób procentem zwiększonego długu.

„Cóż dziwnego, że byłem tedy w różowem usposobieniu.

„Spojrzałem na zegar, było dopiero pół do jedenastej, mogłem więc przyjąć nieznajomego.

„Za chwilę, w uniesionej portyerze mego gabinetu, ujrzałem młodego, może dwudziestopięcioletniego mężczyznę, z pochyloną głową, o nieśmiałem wejrzeniu i w bardzo wyszarzanej odzieży. Uderzyły mnie jego rysy.

„Mimo lekkiego zaniedbania w ubraniu i bladej twarzy, nieznajomy przedstawiał typ piękności męzkiej. Rysy miał regularne, twarz pociągłą, wąs delikatny, ciemniejszy trochę od włosów, które były jasne, połyskliwe, oczy obcego były duże, czarne i błyskały z pod długich rzęs rozumnie i trwożnie zarazem.

„Choć to było już pod koniec Listopada, nie miał okrycia, tylko długi tużurek, zapięty pod szy-

ję, zwykłą odzież pokojową. Przyzwyczajony obejmować ludzi, a nieraz i odgadywać ich jednym rzutem oka, pojąłem wszystko prawie. Ciekawy byłem tylko, czy mi przyniósł jakie polecenie, czy chciał pracy, czy jałmużny.

— Czem panu mogę służyć?—spytałem uprzejmie, wskazując mu krzesło.

Zmięszał się jeszcze bardziej, usta mu drgać zaczęły; widziałem, że nie mógł wyrzec i jednego wyrazu.

— Uspokój się pan! — rzekłem ośmielając biedaka. — Czy mówisz po francuzku?

— Mówię, panie, i dość poprawnie nawet — wyjąknął czerwieniąc się.

„Istotnie miał akcent wyborny i głos nadzwyczaj sympatyczny.

— Czemże mogę panu być użytecznym? Zapewne szukasz u nas pracy?

— Tak, panie! — szepnął przychodząc powoli do siebie.

— A co robiłeś dotąd?

— Po ukończeniu szkół pracowałem w biurze ubezpieczeń.

— A czemu nie kształciłeś się dalej?

— Mam matkę wdowę, musiałem myśléć o jak najprędszem przyjściu jej w pomoc, tem bardziej, że trzeba jeszcze było zająć się i siostrą.

— A teraz?...

— Radbym spożytkować zdolności jakie posiadam, to jest — poprawił się — jakie mi przyznają życzliwi.

— Więc jesteś zupełnie bez zajęcia?

— Zupełnie.

— Od jak dawna?

— Od chwili przybycia do Paryża, od miesiąca już.

— A ręka lewa? — zapytałem wskazując na bandaże.

— Tracę w niej władzę.

— A lekarze?

Uśmiechnął się smutnie.

— Byłaby może na to rada, ale ja tu nie znam nikogo a w klinice opłacać by trzeba leczenie.

— A matka i siostra? — pytałem dalej.

— Zostały w domu.

— Pisałeś pan przynajmniej?

— Pisałem, ale... dotąd żadnej nie otrzymałem odpowiedzi.

„I widać, że na wspomnienie o matce i siostrze, dojrzałem coś w jego ślicznych oczach jakby łzę.

„Ludzie utrzymują w ogóle, że nie jestem zupełnie bez serca. Chłopca mi się żal zrobiło.

— Masz-że pan tu znajomych? — spytałem jeszcze.

— Nikogo, nikogo!

— A któż cię przysłał do mnie? — i spojrzałem mu w twarz badawczo.

— Dziś rano w mleczarni, dwóch studentów rozmawiało przy tym samym co ja stoliku. Jeden z nich, pomnę dobrze, nazwiskiem Leroux, mówił drugiemu, że ma przekaz ale terminowy na bank de Courcy, ale wypłata dopiero ma nastąpić pojutrze a ja dziś potrzebuję pieniędzy, zakończył z westchnieniem.

— Idź do samego bankiera, słyszałem, że to człowiek dobry bardzo, ludzki i uczynny, poproś, może ci każe dać choć zaliczkę.

— To słyszałem, panie, i przyszła mi myśl przyjść tu zaraz i prosić o pracę.

— Więc pan znasz rachunkowość handlową?

— Nie, ale...

— A języki?

— Trochę niemiecki i angielski.

— Trochę tylko?

— Sądzę, że po sześciu miesiącach usilnej pracy, mógłbym poznać dokładnie oba te języki i rachunkowość przytem.

— Hum, tak sądzisz?

„Podniósł głowę i dopiero dostrzegłem męzkie jego oblicze w całej pełni. Twarz młodego człowieka świeciła inteligencyą i jakimś niezwykłym zapałem.

— Gdzie pan mieszkasz? — spytałem z niechcenia.

— Mieszkałem przy ulicy Racine N-r 5.

— Mieszkałeś, a teraz?

„Zaczerwienił się.

— Onegdaj zamknięto mi pokoik mój — odparł prosto — gdyż winien jestem 15 fr.

— Więc do Paryża przybyłeś bez grosza?

— Prawie bez grosza.

„Nie, pomyślałem, ta twarz i te oczy i głos ten kłamać nie mogą. Rodak pański zajął mnie, polubiłem go już odrazu.

„Wyjąłem tedy dwa tysiące franków, położyłem je przed zdumionym i rzekłem te tylko słowa:

— Od dziś za sześć miesięcy t. j. 1-go Lipca, wstąpisz pan jako korespondent do mego biura. Chcę jednak abyś już znał rachunkowość i władał po niemiecku i po angielsku dobrze. Te pieniądze starczą panu na utrzymanie przyzwoite, licząc po dwieście franków na miesiąc, zbywające ośmset franków obróć na odzież i na bieliznę.

— A zatem — dodałem — o 9-tej rano 1 go Lipca przyszłego roku, aż do tego dnia, do widzenia.

On stał tymczasem nieruchomy, ściskając pieniądze w drżącej ręce. Zabrakło biedakowi i głosu i tchu razem.

— Jeszcze jedno, panie Leonie, bo twoje nazwisko niemożliwe do wymówienia dla nas. Oto moja wizytowa karta, idź z nią do profesora Bertanda, obejrzy twą rękę. Idź jutro, ja już z nim dziś pomówię.

„Był jak obłąkany, wyszedł kłaniając się, oszczędzając mi przykrości słuchania podziękowań.

W tem miejscu opowiadania, pochmurniało oblicze szlachetnego Francuza.

— Ah, nieuwierzysz pan ile cierpię! — rzekł spuszczając głowę na piersi.

— Więc nie pokazał się więcej? — zapytałem.

— Posłuchaj pan dalej spokojnie: Helenka, chcąc się widzieć ze mną, właśnie zbliżała się do drzwi mego gabinetu, gdy wprowadzono Leona. Biedna, wysłuchała całej rozmowy! I ją oczarował ten głos dziwnie dźwięczny i ją rozmarzyło to męzkie i piękne oblicze twego rodaka. Ciekawością bowiem powodowana uniosła lekko zasłony aby zobaczyć mego gościa.

„Po upływie sześciu miesięcy, zapomniałem już był zupełnie o tej sprawie, gdy nagle, wszedł do mego gabinetu Leon, już śmiało, z głową do góry. Za pierwszym razem, stał przedemną biedak: w Lipcu rano, witałem w mym gabinecie prawdziwego gentlemana. W godzinę już zajął miejsce przy biurku, obok mego gabinetu. Wyznaczyłem mu robotę skomplikowaną umyślnie, aby ocenić jego zdolności, prócz tego, poleciłem aby mi za dni kilka wygotował sprawozdanie z czynności stowarzyszenia akcyjnego, wyzyskującego kopalnie żelaza w Pireneach, którego jestem prezesem i dałem mu odnośne papiery. Obie prace wykonał mi znakomicie. Cichy, pracowity, małomówny, był wzorem urzędników, prócz tego, wywiadywałem się co robi po godzinach biurowych i dowiedziałem się, iż spędzał je na czytaniu ksiąg poważnej treści, lub na przechadzce w ogrodzie Luksemburgskim.

„Bądź co bądź, przyjęcie go w dom mój, było nierozważne trochę. Dziś pojmuję wszystko i wszystko sobie przypominam; wtedy jednak oczarowany przymiotami i męzką urodą Leona, byłem ślepy i głuchy na resztę.

„Nie upłynęło i dwóch miesięcy, Leon tymczasem nagle opuścił nas i zniknął bez śladu.

— Ah! — zawołałem z pewnem przerażeniem.

— Tak, porzucił nas — potwierdził bankier — a dziecko nasze pozostało jak gromem rażone.

— Jakto, panie, nie rozumiem...

— Helena pokochała go... znam moją córkę! To zacna, szlachetna natura, wdała się w matkę, kłamać nie umie. Pytałem jej o wszystko, zaklinałem i zaklinała moja żona, aby nam powiedziała całą prawdę.

— Nigdy mi nie powiedział, że mnie kocha! — odparła z płaczem biedaczka. — Nigdy.

— Musiałaś przecie coś spostrzedz, Heleno?

— Przekonałam się tylko, że szuka mego towarzystwa, że woli w salonie zajmować się mną niż innemi, że oczy jego zawsze goniły za mną. Oto wszystko. Ale nie wierzę — zakończyła nieszczęśliwa — nie wierzę, żeby wrócił kiedyś dobrowolnie.

— A jak wróci? — pytaliśmy jej jeszcze wczoraj, po twem odejściu, panie Zygmuncie.

Spojrzała na nas smutno z rezygnacyą.

— Gdyby wiedział, że go kocham, wróciłby może, ale...

— Więc mu wyznałaś, że go kochasz?

— Nigdy! ale czytał to w moich oczach, jak ja w jego, a jednak przypuścił...

— Co takiego? — pytaliśmy jeszcze.

— Przypuścił, że go posądzam o interesowność, że jeżeli starał się podobać mi, to jedynie w celu pozyskania posagu...

— Co ty mówisz?

Sięgnęła do kieszonki i wyjęła z niej maleńki pugilaresik, a z niego arkusik papieru złożony na czworo.

— To jego list... — szepnęła. — Darujcie, że go wam nie pokazałam; z tych kilkudziesięciu wierszy poznacie jaki to szlachetny człowiek. Nieporozumienie wydarło mi go... uczyniło nieszczęśliwą.

I pan de Courcy, podał mi list ów fatalny.

— Czytaj pan.. przekonasz się sam o prawdzie słów moich.

List brzmiał jak następuje:

„Pani!

„Nie wątpię, że ci się dziwną wyda śmiałość moja; uczyń mi jednak łaskę przeczytania tych kilkunastu wierszy cierpliwie, a może choć szczerością moją, zasłużę na trochę pobłażania.

„Ojcu twemu winien jestem wszystko. Biedaka bez chaty i chleba, przyjął w dom swój i dał pracę. I byłem szczęśliwy i dumny razem, że usilną pracą zasłużyć mogłem na względy mego dobroczyńcy.

„Przyszedł jednak dzień w którym ujrzałem ciebie, Heleno. Ah, Bóg mi świadkiem, że całą siłą woli i rozsądku opierałem się owładającemu mną uczuciu. Może ze strasznej walki serca z honorem i obowiązkiem, byłbym wyszedł zwycięzko; lecz ojciec twój, nieprzypuszczając zapewne nawet, abym ja, śmiał tak wysoko podnieść

oczy, zaczął mnie zapraszać na wieczorne zebrania i dozwalać abym je spędzał w gronie twej rodziny.

„Tak mijały miesiące. Czasem, zdawało mi się z przelotnego rumieńca na twem licu, z chwilowego wejrzenia, że byłaś trochę wzajemną, ale było to złudzenie... właściwe każdemu kochającemu szczerze. W zarozumieniu swem sądziłem, że gdy ojciec twój zobaczy, iż jestem człowiekiem uczciwym i pracowitym, a powiem mu: „klnę ci się, panie, że kocham twe dziecko, *nie dla twego mienia*, ale dlatego, że jak ty jest dobre i szlachetne!" gdy prócz tego i z twej strony nie będzie oporu, *może* zechce nazwać mnie synem w przyszłości. Wszakże robił mi nieraz nadzieję, że jeżeli będę pracował tak dalej, to otworzy filię swego banku w Lyonie i powierzy mi jej kierownictwo. Wtedy miałbym własne już dostatnie utrzymanie i śmiało mógłbym się odezwać do twego serca z prośbą o twą rękę.

„Los jednak chciał inaczej.

„W domu waszym zastałem już bywającego czasem pana de Bernis, a choć nigdy nie okazywałaś mu, Heleno, wielkiej sympatyi, przeczuwałem w nim człowieka zagrażającego memu szczęściu i... nieomyliłem się.

„Wczoraj był w salonie: zaledwo przyszedłem, zwrócił rozmowę na przedmiot dość drażliwy, niestosownych związków i wymyślił nawet na tem tle jakieś opowiadanie, wzięte niby z rzeczywistości.

„O panu de Bernis, mówiono mi, że jest człowiekiem zamożnym i że miliony twoje, Heleno, mogą mu być rzeczą obojętną zupełnie.

„Jeżeli zechcesz przypomnieć sobie zakończenie tej przykrej rozmowy, to pojmiesz jak bolesny cios mnie spotkał i to jeszcze z twych ust, Heleno.

— Człowiek — rzekłaś — co nadużywa darów, jakiemi go obdarzyła przyroda, aby pozyskać serce kobiety, a ma na celu tylko jej mienie, jest istotnie bez charakteru.

— Są jednak wyjątki! — wtrącił wtedy wykrętnie p. de Bernis i spojrzał na mnie znacząco. — Nie zawsze ludzie np. dotknięci ciosami losu, starając się o rękę posażnej jakiej dziedziczki, mają tylko jej krocie na myśli.

— Tak, ale ja sama wierzę — odrzekłaś, Heleno — że takich wyjątków ze świecą szukać trzeba i to bez nadziei ich znalezienia.

„Więc nie było nawet łaski zaliczenia do tych wyjątków, Heleno. A jednak jestem nim. Tak więc, wyraźną wzgardą obrzucony, zdręczony wyznaniem, że już nie miłości, ale nawet, przyjaźni twej i szacunku nie posiadam, cóż miałem zrobić? Uciekłem i już prawdopodobnie nigdy się nie zobaczymy w życiu. Piszę więc śmiało... prawdę całą: pokochałem cię i kochać nigdy nie przestanę, ale ciebie, Heleno, nie córkę bogatego bankiera.

„Twemu szlachetnemu ojcu życzę wszelkiego powodzenia... zrozpaczony, nie miałem nawet odwagi pożegnać go i wyznać powody mego oddalenia. Gdy je pozna, mam nadzieję, że mnie nie potępi i przyzna, żem postąpić nie mógł inaczej. Mieszkać pod jednym dachem z ukochaną, widywać ją niemal codzień, a być pewnym jej obojętności a nawet... i wzgardy, to tortura do niezniesienia. Uciekłem też przed nią...

Żegnam cię
Leon R."

Po przeczytaniu, spojrzałem na pana de Courcy, chodził po pokoju blady, ze łzą w oku.

— Ten szaleniec—zawołał, stając przedemną— nie wiedział, że pan de Bernis, grający w obec nas rolę magnata, był już bankrutem. Właśnie dzień pierwej dowiedziała się o tem, nielubiąca go nigdy Helena i dlatego, gdy naprowadził na ten przedmiot rozmowę, tak stanowczo się wyraziła, ale o nim, nie o Leonie. Dziś robiąc sobie wyrzuty, dziecko mi umiera! Helena zawsze była delikatną, podległą nerwowym cierpieniom, ztąd też i takie szalone dla Leona przywiązanie. Oto, w krótkości, co nas dręczy, co wygania wesele z naszego domu, zakończył pan de Courcy.

Wysłuchawszy tego opowiadania cierpiącego ojca, jakiemś niewytłomaczonem przeczuciem wiedziony, wstałem i wyszukawszy w biurku fotografią przesłaną mi przez matkę, pokazałem ją memu pryncypałowi i opowiedziałem szczegóły jej dotyczące.

Oniemiał z podziwienia! Wziął obrazek i przypatrywał mu się chciwie.

— Tak, tak, jakby on... jakby jego rysy... jakaż podobna do brata! A co za traf szczególny żeśmy się poznali... Biegnę zaraz, donieść tę szczęśliwą nowinę mojej biednej Helenie.

Żal mi było biedaka.

— Uspokój się pan! — rzekłem — i cierpliwie wysłuchaj mnie.

— Ale znasz go, wiesz gdzie się obraca?

Pokazałem mu list matki mojej i przetłomaczyłem go.

— Rzecz szczególna jednak, że on istotnie nazywa się Poleski a nie Różański.

— To prawda? Cóż może w tem być za tajemnica.

Ruszyłem ramionami.

— Sądzę, że fantazya młodego człowieka, który w podróży rad otaczać się tajemnicą, prosto dziecińtwo. To tylko pewna, że rodzina wspomina go z uwielbieniem, czeka wiadomości odeń z niepokojem i że pan sam i biedna jego córka, oddajecie mu sprawiedliwość.

— Co jednak stać się z nim mogło?

— Przeczuwam jakieś nieszczęście, opuszczając bowiem was, niezapomniałby nigdy o matce i siostrze.

— To prawda — potwierdził bankier i zamyślił się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Nie mając dostatecznej ilości oliwy, zostawali prawie ciągle w pomroku długich nocy podbiegunowych; palono lampę czasami tylko, raz dla oszczędności, powtóre dla braku knota, który zastąpili mchem dymiącym straszliwie i wydającym woń niedozwalającą prawie oddychać. Światło jednak tak dalece potrzebne jest ludziom, że mimo tylu niedogodności wyrzekli się nawet przypadającego na każdego działu oliwy, aby przerwać choć na parę godzin otaczającą ich ciemność. Przy niepewnym blasku lampy, major Greeli krztusząc się i kaszląc z dymu, odczytywał znalezione na przylądku Sabiny gazety. Opowiadały one przeszłoroczne wypadki, które jednak dla nieszczęsnych rozbitków, jako pozbawionych oddawna wszelkiego stosunku z ucywilizowanym światem, były prawdziwą nowością.

W trakcie tego, zaszedł niepojęty zupełnie wypadek: pozostały na lodowej górze statek Narwal, po licznych prawdopodobnie zwrotach i zakrętach ukazał się niespodzianie tuż naprzeciwko obozu Clay. Opatrzność sama nastręczyła tyle upragniony środek ratunku, mając bowiem wielką łódź można było zrobić wycieczkę na wyspę Littleton i tam znaleźć nieodzowne artykuły do życia. Żeglarze jednak byli bardzo z zimna osłabieni, przytem podróż pieszo na wyspę Littleton uważali prawdopodobnie za daremną i dlatego zamiast próbować wycieczki morskiej, dającej jakąkolwiek nadzieję, uznali za właściwe porąbać Narwala i spalić go dla ogrzania zmarzniętego ciała. Tym sposobem odjęli sobie samowolnie ostatni środek ratunku, gdyż czółno sprowadzone z przylądka Sabiny było za małe, i z niewiadomej przyczyny podziurawione w kilku miejscach, a więc niezdatne zupełnie do użytku. Uczynienie zadosyć chwilowej przyjemności było wielką nieoględnością, trudno jednak rzucić na nieszczęsnych rozbitków kamieniem potępienia.

Podbiegunowy klimat nie zostaje bez wpływu na organizm ludzki. W warowni Conger wśród wszelkiego rodzaju wygód, należący do naukowej kolonii trwożyli się do zbytku brakiem wiadomości z Ameryki; obecnie przy zupełnym niedostatku nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistego swego położenia; liczyli na pewno na zamarznięcie cieśniny, a zapominali, że w danym razie może zabraknie im sił do wdrapywania się na lodowiska, mające niekiedy kilka kilometrów szerokości i odpowiednią wysokość. Było to wielce prawdopodobne przypuszczenie, ze względu na zbyt szczupłe zapasy żywności. Bez względu bowiem na miejscowe warunki klimatu, major uznał za właściwe zmniejszyć udzielane racye żywności, ograniczając takowe do 180 gramów mięsa lub tłustości i 200 gramów sucharów. Nastąpiło szemranie stłumione prędko powagą dowódzcy, a szczególniej szczerem objaśnieniem rzeczywistego stanu rzeczy.

Obydwie strony miały słuszność, podkomedni majora jako głodni, major jako chcący zapewnić na dłuższy czas utrzymanie; zresztą sam nie należał wcale do uprzywilejowanych i przyjmował równy drugim dział żywności bez najmniejszej różnicy. Wśród ogólnego niezadowolenia z powodu zmniejszonej racyi, jeden tylko John silnie zbudowany Niemiec pochwalał zapadłą uchwałę; żałował nawet, że takie postanowienie nie było zrobione wcześniej. Wszyscy patrzyli na niego z podziwieniem, major dawał go za wzór karności i rozsądku nie przypuszczając, aby maska obłudy pokrywała najbardziej samolubne zamiary.

VII.

Po wewnętrznem urządzeniu obozu major urządził wyprawę po znajdującą się na przylądku Izabelli żywność.

Dowództwo powierzył Lockwoodowi, dając mu do pomocy trzech ludzi, mianowicie: sierżanta Rice, Ellisona, nareszcie Eskimosa Fryderyka, jako najlepiej obznajmionego z podróżą wśród śniegu i lodu.

Zabrano z sobą również sanie, na których miano przywieźć znalezioną żywność. Miano jednak z niemi niezmiernie wiele kłopotu. Napotykane bowiem bryły lodu z ostrem zakończeniem, mogły je lada chwila rozbić i dlatego często bardzo podróżni zniewoleni byli zatrzymywać się dla wydobycia ich z uwięzi z konieczną w takich wypadkach żmudną ostrożnością. Przez cały czas wycieczki, silny wiatr północny przeszkodził idącym do rozgrzania się skutkiem zwiększonego ruchu. Zziębnięci więc choć zmęczeni przybyli do przylądka Izabelli, gdzie dostrzegli z ogromną trwogą ogromne zaspy śniegowe, pokrywające całą okolicę. Znalezienie zatem w tem położeniu składu żywności, było prawie niepodobnem, szczególniej z powodu braku psów, umiejących przy pomocy węchu odkryć złożone zapasy. Zostawieni sami sobie Amerykanie wróciliby z niczem do obozu, ale na szczęście mieli z sobą Fryderyka, który jako Eskimos umiał robić poszukiwania wśród najgrubszych warstw śniegu. Bystremi choć maleńkiemi oczami rozpatrywał pilnie okolicę, nareszcie wydał przeraźliwy świst, będący u podbiegunowych plemion oznaką radości, z powodu jakiegoś niespodzianego odkrycia. Każden z mieszkańców tych okolic zawiadamia w ten sposób swych towarzyszów, skoro dostrzeże białego niedźwiedzia, fokę lub piżmowego wołu. W tym razie Fryderyk wskazał porucznikowi Lockwood jakiś przedmiot okrągły, wznoszący się po nad grubą zaspą śniegową. Po dokładnem rozpatrzeniu go przy pomocy lunety, wszyscy odetchnęli swobodniej; był to bowiem wierzchołek masztu pokryty szronem, wzniesiony niewątpliwie po nad urządzonym składem żywności. I tak było rzeczywiście; po rozkopaniu śniegu znaleziono złożone zapasy w jak najlepszym stanie.

Postanowiono zatem przedewszystkiem pokrzepić osłabione siły i w tym celu wzniesiono namiot, zrobiono wielkie ognisko ze znalezionego drzewa, a po ogrzaniu, każdy z uczestników wycieczki otrzymał podwójną racyę mięsa i chleba, przy odpowiedniej ilości araku i wina. Podczas deseru wzniesiono toast z życzeniem prędkiego do kraju powrotu i drugi na cześć oddalonej ojczyzny, oby jej sława jaśniała zwiększającym się ciągle blaskiem.

Następnie zabrano się do spoczynku ze słodkiem uczuciem zadowolenia, ze spełnienia włożonego na nich obowiązku.

Nazajutrz, Lockwood pierwszy powstawszy ze zrobionego naprędce posłania, przebudził swych towarzyszów, gdyż przed powrotem należało uzupełnić dane przez majora Greely pismo, dokładnem oznaczeniem miejscowości na którą założonym był nowy obóz. Brak ten bowiem mógł udaremnić niesienie pomocy rozbitkom, gdyby przybywający żeglarze nie wiedzieli gdzie ich poszukiwać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA „OSADY ROLNE".

Odczyty publiczne wygłoszone w sali ratusza w Warszawie.

III.

Stosownie do ogłoszonego programu, znany w szerokich kołach czytelników, powieściopisarz Piotr Jaxa Bykowski, w dwóch odczytach rozwinął rzecz o dawniejszych salonach i towarzystwie polskiem. Przedmiot w wysokim stopniu interesujący, zgromadził licznych słuchaczów.

Autor „Pamiętników włóczęgi", starał się scharakteryzować życie domowe i towarzyskie naszych przodków, począwszy od Jagiełły.

Niewiele co prawda, mamy z owej epoki zabytków pismiennych, mogących rzucić jakieś jaśniejsze światło na życie i obyczaje czasów, wiekową pleśnią pokrytych i dopiero nowsi pisarze jak np. Szajnocha, zajęli się tym przedmiotem. „Dworzanin" Łukasza Górnickiego daje już bardzo dokładne pojęcie o życiu towarzyskiem złotych czasów Zygmuntowskich, w których życie to szerokiem płynęło korytem.

Mówca charakteryzował dawne epoki, tak bardzo od dzisiejszych różniące się. Ludzie nie zakłopotani tak bardzo jak dziś, myślą o zdobyciu kawałka powszedniego chleba, nie zgorączkowani w ustawicznej pogoni za groszem, mieli więcej ani-żeli my czasu i myśli swobodnej, aby się towarzyskiemu życiu oddawać. A przytem położenie materyalne również było innem i o wiele łatwiejszem. Ludzi mniej było, każdy chleba miał w bród, starczyło nawet na zbytki, które później rozwielmożniły się tak dalece, że aż prawa przeciwko nim trzeba było stanowić.

Jako illustracyą do życia towarzyskiego owych czasów, przytoczył Bykowski dzieje żartobliwej rzeczypospolitej babińskiej i sam fakt istnienia takowej uznał za dowód, że w społeczeństwie owoczesnem nie brakło zdrowego rozsądku, że umiano się bawić dobrze, lecz zarazem ostro powstawano przeciw nadużyciom.

Naturalnie, że mówiąc o „towarzystwach" dawnych, nie mógł szanowny prelegent pominąć wpływu, jaki wywierali na nie cudzoziemcy, których w Polsce, osobliwie na dworach królewskich nigdy nie brakło.

Ci wprowadzali nowe zupełnie maniery i zwyczaje, które nasz, tak bardzo do naśladownictwa skłonny naród łatwo sobie przyswajał.

W przeciwstawieniu więc do charakterystyki staroświeckiego „animuszu" i zabaw, mówił p. B. o towarzystwach już pod wpływem obcych żywiołów ukształtowanych.

Ostro skrytykował zwyczaje salonowe, które z Maryą Ludwiką i Maryą Kazimierą wprowadzone zostały do Polski i spowodowały wielki, a zarazem zgubny przewrót w życiu i obyczajach. Dostało się także i słusznie epoce saskiej i stanisławowskiej, które tak smutnie zapisały się na kartach historyi.

Przykłady i szczegóły z życia słynnego ks. Radziwiłła panie-Kochanku i innych szalejących magnatów, w jaskrawem świetle przedstawiały dezorganizacyą i upadek społeczeństwa.

Po tych smutnych wspomnieniach, mówca przyszedł do życia towarzyskiego XIX wieku.

Już tu widzimy zupełnie co innego. Silne wstrząśnienia i przejścia bolesne wytrzeźwiły społeczeństwo a raczej „towarzystwo" z upojenia i szałów, przyszła naturalną drogą refleksya, zastanowienie się, uszlachetnienie jakieś. To też utworzyły się salony, w których szanowano literaturę i sztukę i otaczano je względami i opieką.

Do takich właśnie zalicza prelegent salon ministra Łubieńskiego, dwór książąt Czartoryskich w Puławach, jenerała Krasińskiego, salon Łuszczewskich (rodziców poetki Deotymy) i inne.

W końcu prelegent wyraził nadzieję, że spółczesne towarzystwo nasze, spółczesne salony, staną się ogniskami szlachetnych zabaw i umysłowego życia, że wyrzuciwszy z siebie niepotrzebny zupełnie balast próżności i zbytków, nabiorą cech swojskich sympatycznych, że jednem słowem staną się „salonami" w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu.

Oby się to życzenie autora „Pamiętników włóczęgi" w całej rozciągłości sprawdziło!

Słuchaczów, jak powiedzieliśmy było mnóstwo i ci nagrodzili prelegenta długim i głośnym oklaskiem.

Z pod naszej strzechy.

Treść: Grudzień jako pan zimy. — Figle Karpat.— Trzęsienie ziemi. — Burza w Wiedniu. — Deszcz gwiaździsty. — Szczegóły tego zjawiska. — Objaśnienie jego. — Kometa Bieli. — Jej historya. — Rozdzielenie na dwie komety. — Zniknięcie i nowe pokazanie się. — Wniosek astronomów. — Przypuszczenia prostaczków. — Proroctwo o Wielkanocy. — Bagatela. — Brak klepki. — Pogaństwo. — Zaćmienie słońca. — Strach paniczny. — Wyższość roztropności strusia. — Pisma dla ludu.

Chociaż na świecie, jak powiada poeta, nieźli są ludzie, jednak patrząc wkoło siebie, wszystko zdaje się wyłamywać z karbów właściwego porządku.

Grudzień, ten pan śniegu, mrozu i zadymek, dziś spokorniały bardzo, niby konkurent po szarej polewce, pogląda zapewne z bezsilnym gniewem, jak krety ryją ogrody, jak murawy prześlicznie się zielenią, jak deszcze podnoszą strumienie i rzeki, jak topnieją śniegi w Karpatach, na ich podgórzach i na wszystkich dopływach Sanu, i jak wreszcie rozbudzona Wisła z zimowej drzemki, grozi wylewem i powodzią.

Karpaty co głównie figla mu takiego wypłatały, szczytami sięgając obłoków, niech z nim rozprawy prowadzą, Wisła bowiem choć się srozy, wzdyma i rośnie, powściągana poczuciem swej godności, nie wystąpi z wybrykiem coby ją w skandaliczny sposób w dziejach jej żywota zapisał.

Gdzieś także daleko na krańcach Persyi podobno, ziemia zatrzęsła się, na szczęście bez szwanku dla miejscowości w której się poruszyła. Napędziła tylko strachu a uradowała każdego, gdy oprzytomniały przekonał się, że jest cały i z dachem nad sobą. W Wiedniu za to szalała straszna burza, jak letni uragan, która obrywając dachy, zdzierała szyldy i łamała drzewa, a nawet przewracała ludzi z wielką szkodą ich zdrowia.

Jednocześnie w samym końcu zeszłego miesiąca, mieszkańcy Wilna oglądali niezwykłe zjawisko spadania meteorów. Przy szesnastu stopniach zimna, przy pogodnem i gwiaździstem niebie, około godziny siódmej wieczorem, zaczęła po niem prze-

latywać niezliczona ilość meteorów w rozmaitych kierunkach.

Deszcz ten gwiaździsty oświetlał cały horyzont światłem fioletowem; niektóre z meteorów odznaczały się niezwykłą wielkością. Zjawisko to atmosferyczne, trwało z małemi przerwami do jedenastej w nocy i miało miejsce nietylko w okolicy Wilna, ale i w wielu innych miejscach było obserwowane wywołując straszny przestrach pomiędzy ludnością.

Według bowiem doniesień gazeciarskich, często grzeszących zbyt awanturniczą wyobraźnią, gwiazd spadających na minutę w przybliżeniu oznaczono na tysiąc, czyli prawie ośmnaście na sekundę.

W ciągu zatem jednej godziny 60,000 meteorów spadło na ziemię, jakiż to ruch świateł w przestrzeniach nadziemskich, musiał panować, jakże smugi świetlane w licznych hufcach wysuwały się, aby biedz w rozmaitych kierunkach, rozpalać się, gasnąć i ginąć w otchłani.

Astronom berliński, d-r Zenkier, tak objaśnia zjawisko to bardzo ciekawe i zdumiewające:

Kometa zwana Bieli, jest jedną z najbardziej zajmujących. Odkrył ją w roku jeszcze 1826 oficer austryacki Biela a astronomowie jak zaczęli śledzić i badać, zkąd przyszła i dokąd dąży i jak szybko przechadzki swe w przestrzeni odbywa, tak doszli, że jest peryodyczną, że już ją dwa razy widziano w zeszłym wieku, że czas jej obiegu wynosi lat sześć i dziewięć miesięcy i że w roku 1845 i 6, jeszcze dnia 24 Grudnia widziano ją jako kometę pojedyńczą z jednem jądrem i ogonem, a w pięć dni później pokazała się rozdzieloną na dwie oddzielne komety, z których każda miała jądro i ogon. Idąc zgodnie obok siebie z początku były połączone promieniami mglistemi, niby mostem, z czasem znikł i ten związek, a kiedy powróciły w roku 1852, oddalenie jednej od drugiej wynosiło tylko... 350,000 mil. Widocznie pokłóciły się w swej pielgrzymce po niebios przestrzeni i ruszywszy dalej zadąsane i boczące się, zginęły bez śladu, choć je z obserwatoryów ścigano jak najzawzięciej najdoskonalszemi teleskopami.

Niektórzy astronomowie na wskroś moralnością przesiąknięci, tą ucieczką bez śladu ucieszyli się wielce, iż zbiegowie złym przykładem nie będą ziemi przyświecać i zapewne przepadną jak Szwed w Kampinowskiej puszczy, gdy nagle ni z tego ni z owego, w roku 1872 i w bieżącym, w jednym i tym samym dniu 27 Listopada, nastąpił ów wspaniały spadek meteorów, widziany w okolicy Wilna i zachodnich stronach Europy.

Był to figiel terminowo wypłatany, a więc dający wiele do myślenia. Ale astronomowie nie łatwo przyznają się do przegranej i jak znów zaczęli szperać, śledzić i domyślać się, tak wreszcie doszli przyczyny gwiaździstego deszczu, że kometa Bieli jakkolwiek niewidzialna istnieć nie przestała, że deszcz ów wyszedł z punktu w konstelacyi Andromedy, tego samego, przez który przedtem na trzy miesiące główna część ciała komety przeszła, i że wreszcie miano tu do czynienia z oddzielną jej częścią, bo kometa od tego czasu mogła rozdzielać się częściej jak to widocznie stało się w roku 1845. Nie poprzestając na wykryciu dziejów komety, astronomowie na liczbach oparci przepowiedzieli, że nowy spadek gwiazd jeszcze świetniejszy jak miniony, nastąpi także w roku 1892 i 1905, kiedy ziemia nasza przejdzie przez główną część komety.

Że się to spełni prawie wątpić nienależy, oby tylko brakło wówczas naiwnych, widzących w naturalnem zupełnie zjawisku zwiastuna końca świata, jak to miało miejsce we Francyi. Przestrach ztąd powstały w niektórych tam miejscach był tak wielki, że niczem nie dał się uspokoić i lament, wrzask, płacz i narzekania, dopiero przycichły wtedy, gdy noc przeszła i słońce znowu zajaśniało.

Warszawa pozbawioną była wspaniałego widoku spadających meteorów, zapewne zasłoniła go gruba warstwa chmur nagromadzonych. Gwiazdzisty więc deszcz nie zakręcił głowin warszawskiego ludu grozą sądu ostatecznego. Znalazł się jednak inny powód troski i niepokoju.

— Oj! źle! — zawołał pewien jegomość, czytający czasem nie samego tylko Kuryera i westchnął frasobliwie skrobiąc się w głowę.

— Cóż się złego stało? — zapytałem.

— Jeszcze się nie stało, ale się stanie z pewnością — odrzekł ów jegomość — bo tylko zważ: Wielkanoc przypada dnia 25 Kwietnia według starego i nowego kalendarza, razem ze świętami żydowskiemi i ze świętym Markiem w dniu pierwszym świątecznym, to niebagatela!

— No naturalnie, że nie Bagatela — potwierdziłem — bo Bagatelę już dawno sprzedano i urządzono w niej ogród zoologiczny.

— Nie żartuj — odparł jegomość — bo jest przecie przepowiednia, że jak się święta wszystkich wyznań zejdą z sobą wspólnie ze świętym Markiem, to świat cały jednym wielkim, rozpaczliwym głosem zawoła: biada!

— Być może — odparłem — ale odgadywać wyroki Boże nie do człowieka należy, a proroctwa nowe...

— To stara przepowiednia — przerwał — jest więc w tem coś, z pewnością jest coś...

— Co się brakiem jednej klepki nazywa — domówiłem, a pan ów jegomość zmarszczył brwi i zamyślił się, zapewne nad dojściem, komu tej klepki brakuje, mnie czy jemu.

Ta wiara w różne gusła i prognostyki, od czasów jeszcze pogaństwa nurtująca ludzkość, jest jasnym dowodem jak trudno się jej pozbyć przekonań, z chrześciaństwem żadnego niemających związku, a nawet wprost przeciwnych jego duchowi. Już za naszej pamięci, podczas całkowitego zaćmienia słońca, w Warszawie i na wsi, oprócz różnych bied przepowiadanych, miały powysychać źródła i rzeki i braknąć wszelkiego pokarmu. Robiono więc zapasy spiżarniane, napełniano wodą wszystkie naczynia, a jedna z Warszawianek oświadczyła mi z naiwnym uśmiechem zadowolenia z okazanej przezorności, iż o zaćmieniu nic powiedzieć nie może, bo ze zgaśnięciem światła słonecznego, jak z krzykiem przestrachu utopiła głowę twarzą w puchowych poduszkach, tak już nie wydobyła jej, aż słońce znów zajaśniało na horyzoncie. Powiadają zoologowie, że gawędy o strusiach chowających głowy w ostatecznem dla siebie niebezpieczeństwie, są bajdą wierutną, poniżającą uznaną roztropność tego ptaka. Czyżby ową jejmość struś przewyższał rozumem?

Mając to na myśli nie można dość polecić pism peryodycznych, poświęconych nauce, najmniej wykształconej warstwie narodu, jak Zorza i Gazeta Świąteczna. Gazeta rzemieślnicza niedawno na nowo rozbudzona z uśpienia, spełnia swe zadanie z gorliwością godną uznania. Niedawno ogłoszenie konkursu na temat: czego potrzeba naszemu rzemieślnikowi? nietylko obudziło ruch w całej rzemieślniczej klasie, i wiele fabryk zachęciło do prenumeraty kilku a nawet kilkunastu egzemplarzy Gazety, ale powołało do pióra więcej zdolniejszych czytelników, którzy się z zadania swego bardzo dobrze wywiązali. Redakcya też tem uznaniem zobowiązana, ogłosiła, iż w roku przyszłym dodawać będzie do każdego numeru arkuszowe dodatki, zawierające wykłady różnych nauk, do potrzeb rzemieślników naszych zastosowane.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Grudnia 1885 roku.

Przy nadchodzącym karnawale i noworocznych kolendach, ożywił się nieco ruch w magazynach paryzkich. Widzimy tam powystawiane piękne materye jedwabne w ogromne bukiety, lub w pasy pluszowe w rozmaitych odcieniach. Do kolorów najmodniejszych, jak już mówiliśmy, należą ciemno popielaty, ołowiany i *mordore*, któryby właściwiej nazwać wypadało ciemno mahoniowym.

Tkaniny wełniane: *Cheviot*, *Sanglier*, wigoń i serża angielska, najwięcej używane w pasy, bądź pluszowe, bądź przerabiane wypukło (*boucles*). Pasy te bywają rozmaitej szerokości; niekiedy składają się z pięciu prążek, zowią je *ragures musique*, gdyż przypominają papier liniowany do muzyki. Wiele też widać sukien haftowanych na rozmaity sposób. Strojniejsze mają deseń złożony z liści lub arabesków aksamitnych, przytwierdzanych sutaszem; skromniejsze kostiumy naszywają pletnią szerokości centimetra (*tresse mohair*), w grecki albo arabski deseń, lub też gładko raz koło razu pięcioma rzędami. U kostyumów z gładkiego materyału, spódnica bywa zwykle otwarta z lewego boku, przez otwór wygląda bryt jakby od pierwszej spódniczki, zahaftowany cały, lub z materyału w pasy. Stanik do tego gładki otwarty; pod spód idzie kamizelka w pasy albo też haftowana. Mankietki u rękawów, bywają odpowiednie.

Grelotki z paciorków drewnianych i takież guziki, niesłychaną pozyskały wziętość, kostyumy wełniane powszechnie ubierają niemi. Do czarnych używane czarne, do innych z drzewa w naturalnym kolorze w rozmaitych odcieniach. Paciorki te podobne do ziarnek różańcowych, zowią tu *perles chapelet*, lub *perles de Jerusalem*; noszą też podobne naszyjniki i bransolety, wiele sukien wełnianych naszywają w deseń takiemiż paciorkami.

Zdarzyło nam się niedawno być w zakładzie krawieckim pani Martin, przy ulicy 4 Septembre. Suknie jej słyną wytwornym gustem i nowemi pomysłami. Widzieliśmy tu kilka sukien i kostyumów, przeznaczonych dla zamożnej rodziny polskiej w Odesie, a wybranych przez panie Kuhnke, za ostatniej bytności ich w Paryżu. Te same modele ukażą się wkrótce i w Warszawie. Dajemy tu ich szczegółowy opis, zaczynamy od strojów balowych.

Suknia dla młodej brunetki, koloru śmietankowego, przybrana kwiatem nasturcyi i wełnianą koronką *Lama*. Na spódniczce z lekkiej materyi *faille*, naszyty z przodu wielki wolant z cienkiej etaminy, układany w kontrafałdy, przytwierdzony powyżej kolan, kokardami ze wstążki w tymże odcieniu. Od boków do tyłu, wolant puszczony wolno. Nad wolantem, draperya z etaminy garnirowana koronką, tworzy lekką tunikę. Staniczek, okrągło wycięty w górze, ma jeden bawet z prze-

du, drugi poniżej pleców; z pod ostatniego wybiega karoczko, złożone z trzech rzędów, rzęsisto sfałdowanej koronki. Na wykroju stanika nagarnirowana koronka, zarówno jak na bardzo krótkich rękawkach. Po prawym boku stanika wpięty bukiet z nasturcyi bez liści, poniżej takiż bukiet, zgrabnie podpina tunikę.

Druga suknia dla młodej blondynki, z gazy blado różowej. Na spódniczce z lekkiej materyi *faille*, idzie z przodu półłokciowy wolant, zakończony białą koronką. Powyżej od samego stanu spada drugi wolant, obszyty szerszą koronką, ułożony w pięć wielkich kontrafałdów. Pomiędzy temi fałdami przechodzi atłasowa wstążka, zakończona u dołu wybiegającym puklem. Nad każdym puklem upięte trzy róże bez liści. Tylne bryty spódnicy, rzęsisto namarszczone, spływają gładko do dołu. Stanik do tego z dwoma bawetami, wykrojony w chusteczkę tak z przodu jak na plecach, ogarnirowany w górze koronką. Z pod stanika przechodzą po bokach małe draperye, zwane *paniers*, łączą się w tyle kaskadą pukli i końców ze wstążki atłasowej. Bukiet z róż bez liści upięty z przodu stanika. Rękawki maleńkie ogarnirowane koronką, przybrane kokardkami.

Trzecia suknia strojna, dla matki tych panienek, aksamitna koloru ołowianego. Spódnica otwarta z lewego boku; przez ten otwór widać fałzywą spódniczkę ciemno ponsową, naszytą aż do góry trzema wolantami z koronki.

W tyle spada długi tren aksamitny, podbity atłasem. Stanik do tego otwarty z przodu, z małemi wyłogami ciemno ponsowemi. Pod spód idzie plastron, rzęsisto nagarnirowany białą koronką. Dopełnia ubrania egretka z piór ciemno ponsowych, do wpięcia między włosy.

Trzy kostyumy zarówno odznaczają się wytwornym i oryginalnym gustem. Pierwszy przeznaczony dla młodej brunetki, składa się z wigoniu gładkiego, w kolorze *mordore* i z takiegoż chewiotu, w pluszowe różnokolorowe paski. Pierwsza spódniczka w paski, rozcięta z boku, spina się na rzęd wielkich, drewnianych guzików. Na to druga spódniczka z gładkiego wigoniu, tworzy z przodu fartuszek w formie chusteczki, po bokach małą draperyą, w tyle zaś znacznie przedłużoną tunikę. Stanik wigoniowy, ma formę żakietki otwartej z przodu, przystającej do figury. Od pleców spada na dół małe, rozcięte klapki. Na przodzie z pod otworu, wybiega marszczona koszulka, z fularu *surah* w złotym kolorze, zakończona w pasie pękiem pukli z takiejże wstążki.

Do wyjścia na ulicę, dodana wizytka z wigoniu *mordoré*, podbita materyą, objęta futerkiem zastosowanym do koloru. Kapelusik do tego okrągły *mordore*, opasany wstążką w dwóch odcieniach, złączoną z boku kokardami, wkoło rondka idą grelotki drewniane.

Drugi kostyum dla blondynki, szafirowy w odcieniu *bleu chasseur*, składa się z wigoniu, pluszu i jedwabnej materyi w poprzeczne paski atłasowe. Pierwsza spódniczka jedwabna, ułożona z przodu w siedm wielkich fałdów, z pod każdego fałda, wybiega plisa pluszowa. Na to idzie draperya wigoniowa, tworząca z przodu wielki fartuch, z pluszowemi wyłogami. Tylne bryty z wigoniu, zupełnie gładkie, rzęsisto przymarszczone. Stanik wigoniowy, obcisły, otwarty z przodu, z klapkami pluszowemi. Pod spód idzie bluzka ponsowa z fularu surah, przytwierdzona do niższej połowy stanika, trzema metalowemi guzami, ujęta w pasek pluszowy. U szyi kołnierz stojący z pluszu, takież mankiety u rękawów. Za okrywkę służy wizytka z astrachanu w odpowiednim kolorze, objęta popielatem futerkiem *petit gris*. Kapelusik do tego sukienny, wysoki, przybrany egretką ponsową.

Trzeci kostyum dla matki, bardzo piękny i poważny, składa się z wigoniu gładkiego w kolorze wydrowym (*loutre*) i z mory jedwabnej tegoż koloru. Spódnica wigoniowa, układana cała w kontrafałdy, otwarta na przodzie. Z pod otworu wybiegają dwie kontrafałdy morowe, tworzące jakby pierwszą spódnicę. Na bocznych fałdach wigoniowych naszyta z obu stron pasmanterya, przerabiana drewnianemi paciorkami. Stanik w formie żakietki, otwarty z przodu, w koło objęty pasmanteryą. Pod spód idzie morowa kamizelka, spięta na rzęd drewnianych guzików. Kołnierz stojący wigoniowy, przybrany dwoma rzędami drewnianych grelotek, takież mankiety u rękawów. Płaszcz do tego długi z lekkiego astrachanu, podbity jaśniejszym atłasem, przybrany pasmanteryą z grelotkami. Dopełnia ubrania kapelusz aksamitny w kolorze wydrowym. Rondo ma kształt małego zawoju, nad niem upięty pęk piór tegoż koloru w rozmaitych odcieniach.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

⁂ **Z ogrodu Zoologicznego.** Zarząd zwierzyńca, instytucyi wielce sympatycznej i pożytecznej, nieustannie powiększa liczbę okazów. Obecnie przybyć ma z Hamburga kilka sztuk zwierząt strefy gorącej.

Zdrowie okazów znajduje się w kwitnącym stanie, śmiertelność nie przeszła granic statystyki, wskazującej 15 proc., w najlepiej urządzonych zwierzyńcach zachodu.

Słyszeliśmy, że jedna z nauczycielek układa do druku przewodnik po ogrodzie zoologicznym.

Pożądanem byłoby przytem, żeby zarząd kazał ponumerować klatki, gdyż inaczej książeczka nie odpowie swemu zadaniu.

Szczególniej dla młodzieży szkolnej i dzieci przewodnik przyda się bardzo.

Łatwy i zajmujący opis każdego zwierzęcia zainteresowawszy młodociane umysły na zawsze pozostanie im w pamięci. Będzie to wyborna lekcya poglądowa, na wysłuchanie której, dzieci chętnie zawsze pospieszają; zwierzyniec będący dotychczas zabawką, prawdziwie im wyjdzie na pożytek.

⁂ **Przygotowania do kiermaszu,** prowadzone są energicznie. Sklepów będzie 66 z których 40 na dole a 26 na górze, w miejscu zaś gdzie się znajdowała cyrkowa orkiestra urządzają scenę. Amatorowie przyspasabiają cztery jednoaktówki, a dwa chóry, jeden towarzystwa muzycznego, drugi p. Danysza, wystąpią z mnóstwem nowości.

Prócz tego, ku uciesze naszych oczów, organizują się cztery żywe obrazy, oraz pochód japoński i cygański.

Kiermasz trwać będzie od dnia 12 b. m. do 20 włącznie, że się tam wszyscy spotkamy, przewidzieć łatwo.

Oryginalna ta zabawa ma wszelkie szanse powodzenia, które stracił już bazar jako wiecznie jednakowy i nie zajmujący.

⁂ **Pralnia dezynfekcyjna.** Praktyczna ta nowość wprowadzona u nas przez firmę Judlin i S-ka, może istotnie wielu rodzicom sprawić wielką przysługę. Nie mówimy tu już o dezynfekcyi bielizny i sukien po nieboszczykach, przedmiot to nader smutny, którego poruszać nie mamy zamiaru.

Ileż to razy jednak choruje ktoś w domu, szczególniej dzieci, gdy ich jest kilkoro, a jedno tylko zapadnie na jakąś wysypkę, dyfteritis i t. p. nie wiemy później co począć z ubraniem.

Mnóstwo wypadków stwierdziło istnienie zarazka w bieliznie, kołderce lub książce, niejedni rodzice opłakiwali stratę dziecka, które strzeżone pilnie w czasie trwania choroby w domu, po przyjściu do zdrowia rekonwalescentów, gdy już wrócono do wspólnych zabaw, padło ofiarą epidemii.

W takim to razie, zakład dezynfekcyjny może stać się jedyną ucieczką, jedynem zabezpieczeniem naszej gromadki. Zakażone przedmioty podlegają działaniu pary i mocno ogrzanego powietrza, w tak zwanej kamerze, później zaś przechodzą do pralni, specyalnie na ten cel przeznaczonej.

P. Świecianowski tutejszy budowniczy obmyślił także podobną kamerę, lecz uproszczoną znacznie i wskutek tego tańszą, której próba odbyła się w tych dniach w obecności kilku lekarzy.

Że kamera taka zdałaby się, przy szpitalach, o tem nie ma co mówić.

⁂ **Sycenie miodu.** Niektóre pisma codzienne donoszą o nadprodukcyi miodu, zniżeniu cen i trudności zbycia tegorocznych zapasów. Przypuszczamy potrosze, iż to są tendencyjne pogłoski panów piernikarzy, pragnących właśnie cenę miodu jeszcze obniżyć. Jeżeli zaś tak jest istotnie, szanowne nasze pszczolarki powinnyby ostro zabrać się do dzieła, surowego towaru nie sprzedawać, lecz zająć się syceniem miodu.

Napój ten cenionym jest zawsze, obecnie zaś, gdy fałszerstwo win czyni je dla zdrowia szkodliwemi, wielu amatorów węgrzyna lub burgunda z korzyścią dla obydwóch stron, poparłoby krajowy przemysł.

Przepisy wyrabiania miodów podług dawnych notatek zebrał p. Szaniawski z Przegalin, a stwierdził ich dobroć długoletnią praktyką, zaręczyć też możemy, iż nikt się na nich nie zawiedzie. A zresztą, każda ze starych gospodyń manipulacyą tę pamięta. Zalecamy jednak wyżej wymienioną książeczkę, gdyż miody przegalińskie słyną ze swej dobroci.

⁂ **Przestroga.** Że ładna figurka wszystkim się podoba, jest-to fakt nie ulegający wątpliwości, że jednak zdrowie daleko więcej od niej warte, każdy chyba przyzna.

A jednak, mało kto pamięta o niem, kupując gorset, który przedewszystkiem powinien być wygodny, aby nie krępował ruchów i nie szkodził całemu organizmowi.

Liczbę ofiar zgubnego nadużycia gorsetu, powiększyła w tym czasie zdrowa, ośmnastoletnia panienka. Zesznurowana mocno, zemdlała podczas zabawy, a w parę godzin później, gdy wróciwszy do przytomności przyjęła znowu udział w grach towarzyskich, które z powodu adwentu zastępowały tańce, upadła znowu na ziemię. Tym razem jednak był to już atak apoplektyczny, zabójczy a lekarz zaopiniował, że przyczyną tegoż stała się sznurówka.

Fakt sam przemawia tutaj do serc matek i opiekunek, by nie tylko nie zachęcały lecz strzegły od tego nadużycia. Nie zawsze wprawdzie staje się ono bezpośrednią przyczyną śmierci, lecz bezwzględnie zawsze zgubne skutki pociąga za sobą.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Losy teatru** narodowego w Belgradzie, niezwykłe przechodzą koleje. Scena zamknięta, artyści wyruszyli na wojnę i wszyscy walczą w szeregach armii.

Reżyser zginął podobno, w bitwie pod Śliwnicą, intendent zaś został mianowany zarządzcą lazaretów.

Który z tych wojowników powróci zdrów i cały, będzie mógł przynajmniej pracować w obranym dawniej zawodzie, lecz co poczną biedni kalecy? Straciwszy nogę lub rękę niepodobna przecież być aktorem.

Lecz żołnierz idący do boju nie myśli o tem co będzie, gdy powróci do zniszczonego sioła, gdyż jak słusznie mówi Jokaj, człowiek, który jest za życia pokarmem dla armat, a po śmierci protoplastą rodu nędzarzy, nie powinien dbać o jutro ani pamiętać o sobie.

*** **Przepych dorobkiewiczów.** Amerykański bogacz Mackay, będący niegdyś biednym wyrobnikiem, zdumiewa cały Londyn świetnością swych balów.

Pani Mackay posiada prawdziwie lukullusowe upodobania, mając przytem znaczny majątek może wszelkim swym kaprysom uczynić zadość.

Ostatni obiad odznaczał się oryginalną wspaniałością, którą cały hikg-life stołeczny oglądał z podziwieniem.

Stół zamieniony został w klomb róż, a pustych miejsc było tylko tyle, ile wymagały talerze i szklanki. Kwiaty nawpół rozwinięte jaśniały wyłącznie bladoróżową barwą. Setki świec woskowych, umieszczonych w kandelabrach, przystrojonych różami oświetlało salon. Każda świeca wyrastała jakoby z woniejącego pączka róży.

Menu drukowane były na różowym atłasie.

Ile to nędzy kryje się po zaułkach stolicy, pani Mackay nie pomyśli nigdy widocznie, w przeciwnym razie bowiem, dałoby się to słyszeć.

Woli słynąć z rozrzutności i zbytków i słynie też po całym świecie. Cóżby się stało jednak, gdyby roztrwoniła te miliony? czy i wtedy byłaby tak głośną i odwiedzaną?...

*** **Rozdawanie nagród Montyona** odbyło się w tych dniach w akademii francuzkiej.

Między innymi otrzymał 1,000 fr. jeden z pacyentów znakomitego Pasteura, pastuszek Jupille, który z narażeniem życia ochronił młodszego towarzysza od ukąszenia przez psa wściekłego.

Z okazyi udzielenia tej nagrody, która dzielnemu chłopcu należała się jak najsłuszniej, publiczność urządziła gorącą owacyę, na cześć Pasteura.

NOWE WYDAWNICTWA.

Kobieta w poezyi polskiej, głosy poetów o kobiecie, przez Autora Antologii polskiej z ośmioma rysunkami E. Andriollego. Wydawnictwo nakładem Gebethnera i Wolffa. W dziele tem mieści się wszystko to co o kobiecie poeci nasi, począwszy od Jana Kochanowskiego aż do najmłodszego z nich Władysława Bełzy, wypowiedzieli i w utworach swych zobrazowali. Wydanie wytworne, godne stolika w każdym salonie.

Dzień grzecznego Władzia w rymowanych ustępach, opowiedziany dziatwie z dodaniem różnych wierszyków przez Jana Chęcińskiego z 12 drzeworytami, rysunku Juliusza Kossaka, wydanie drugie. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Z życia małych dzieci 24 powiastek dla dziatwy poczynającej czytać, przez Z. Morawską, z sześcioma rycinami. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Nasi znajomi, dwanaście powiastek dla dzieci do lat ośmiu, przez Z. Morawską z sześcioma rycinami. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Kalendarz Hodowcy. Rocznik gospodarski illustrowany, na rok zwyczajny 1886, wydany staraniem i pod rekakcyą Henryka Kotłubaja, jako premium bezpłatne dla prenumeratorów Hodowcy. Rok I-szy, kalendarz ten ułożony wyłącznie z uwzględnieniem potrzeb gospodarzy wiejskich, po dziale informacyjnym bardzo starannie ułożonym, posiada dział dotyczący rolnictwa, produkcyi zwierzęcej, łowiectwa, środków leczniczych i przepisów policyjno weterynaryjnych. Cena rs. 1.

Płoczanin, kalendarz na rok zwyczajny 1886, wydany staraniem Wacława Wolskiego i Maryana Kozarskiego, wyszedł z druku i znajduje się do nabycia we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych. Cena kop. 30.

Nakładem księgarni Fer. Hoesicka, wyszły następujące dziełka dla młodzieży i dzieci:

Baśnie i podania ludu polskiego z 12 rycinami, ułożone przez Kaz. Wł. Wojcickiego, w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50.

Kopciuszek, powieść dla dorastających panienek z rycinami, przez Teresę Jadwigę, cena w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50, w zwyczajnej rs. 1 kop. 20, bez oprawy rs. 1.

Wyprawa po Złote runo, przygody wędrowców w Ameryce dla młodzieży, przekład M. Zielińskiej z rycinami, cena w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50, w zwyczajnej rs. 1 kop. 20, bez oprawy rs. 1.

Dzieje nowożytne w obrazach, opracowane podług dzieła A. W. Grubego, z dodaniem historyi Słowiańszczyzny, przez Z. Zajączkowską, z wieloma rycinami. Cena w oprawie ozdobnej rs. 2 kop. 40, w zwyczajnej rs. 2, bez oprawy rs. 1 kop. 80. Dzieło to jest trzeciem z porządku: pierwszy tom obejmuje Historyą starożytną, drugi Wieki średnie i oba sprzedają się w tej samej cenie.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i odezwa kalendarza Wieku.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Ноября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 49.

(Dokończenie.)

N. 25. Sukienka z boku zapięta, dla dziewczynki.

Przeciwnie do przyjętego zwyczaju, zapięcie sukienki dane od lewej strony na prawą; jak to wskazuje ryc. 25, stanowi go ranwers przedłużony aż do dołu sukienki w górze 9, w środku 6, u dołu 11 cent. szeroki, ozdobiony aksamitnemi paskami stopniowej długości, ściętemi spiczasto, $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiemi. Jeden rząd guziczków służy do zapięcia, drugi tylko do ozdoby. Na zszyciu spódniczki 32 cent. długiej ze staniczkiem z przodu 41, z tyłu 43 cent. długim, przewiązana jest szarfa z przodu pięć razy przemarszczona, z tyłu związana w sutą kokardę.

N. 26. Sukieneczka dla dziecka.

Przykrojona formą paletocikową liczy z przodu 54, z tyłu 56 cent. długości a 170 cent. szerokości dolnej. Plecy przemarszczone są poniżej wcięcia stanu dwa razy na elastykę, do 23 cent. szerokości; przody wzdłuż zapięcia mają po trzy fałdy, 2 cent. głębokie. Pasek aksamitny 5 cent. szeroki, przytrzymany z boków dwoma patkami, przy plecach zapięty na guziczki. W wierzchniej połowie rękawków zastębnowane jest u dołu po trzy fałdki, 5 cent. długie. Kołnierzyk aksamitny. Krój do tej sukienki dopasować można podług ryciny 7—8 w N-rze 19 Tyg. Mód.

N. 27. Suknia z krótką draperyą, dla panienki lat 14—16.

Zwracamy uwagę na piękny, w nowym guście materyał użyty na stanik i przód sukni, stanowi go żółtawy bogato haftowany tiul na którym efektownie odbija aplikacya z niebieskiego batystu. Do przybrania służy także koronka 9 cent. szeroka. Na spódnicę zakończoną 14 cent. szerokiem plisowaniem, na podszewkę pod stanik, na upięcia chusteczkowe i draperyę można użyć niebieskiego batystu, materyi lub satynki. Krótka przednia draperya układa się z bryta 50 cent. szerokiego, 140 długiego, z boku sfałdowanego do 15 i 25 cent. Na tylny bryt 95 cent. długi, 130 szeroki, spada szarfa złożona z czterech końców 80, 53 i 44 cent. długich. Dwa końce chusteczkowe stanowiące przybranie stanika, po 30 cent. szerokie, upięte podług ryc. 27 liczą jeden 32, drugi 48 cent długości.

N. 29. Ubranie ze spódnicą à la paysanne, dla panienki lat 12 — 14.

Spódniczka à la paysanne składa się z pasów białego wełnianego materyału i równie szerokich wszywek wełnianych koronkowych, u dołu zaś dany szeroki wolant koronkowy. W tenże sam sposób przygotowane jest pokrycie stanika, pod szyją i u dołu kilkakrotnie przemarszczone. Rękawy dają się bez podszewki. Pod szyją i koło rąk riusza koronkowa. Szarfa z szerokiej ponsowej atłasowej wstążki.

N. 30. Sukieneczka bluzkowa dla małej dziewczynki.

Staniczek i spódniczka batystowej écru sukienki krają się w jednym ciągu bez podszewki i przemarszczają odpowiednio pod szyją i w pasie. Na spódniczce dane trzy haftowane falbanki; takaż węższa falbanka namarszczona wokoło wykroju staniczka i pachy. Szarfa z niezbyt szerokiej wstążki przechodzi przez ramiona nakształt bretelek i przewiązana jest w kokardę z przodu i z tyłu.



N. 1—2. Ubranie strojne z przypinanym trenem. Patrz ryc. 13—14 i 27.

Opis do N-ru 50.

N. 1—2 oraz ryc. 13—14 i 27 w N. 51 Tyg. Mód. Ubrania wieczorowe z trenem przypinanym. Model kroju trenu na ryc. 27.

Ryc. 2 przedstawia suknię bez trenu, odrobioną z jasnej materyi gładkiej lub deseniowej, ubraną koronkami, stanowiącą strojne ubranie wieczorowe lub obiadowe dla panien; gdy model do ryc. 1 odrobiony z czerwonego adamaszku i z czarnych koronek, z długim zwierzchnim trenem, przeznaczony był dla młodej mężatki. Na ryc. 13 w N. 51 widzimy krótką atłasową spódnicę, oszytą u dołu 5 cent. szerokiem plisowaniem, której przód i bryty tylne pokrywają wolanty koronkowe 50 cent. szerokie, dobrze jeden na drugi zachodzące. Boczne, 52 cent. szerokie bryty z tego co suknia materyału, zakończone z brzegów obrębem 4 cent. szerokim, są w górze sfałdowane do 8 cent. a do dołu luźno spuszczone. Ładnie zdobią suknię aksamitki 5 cent. szerokie, tego co materya koloru, przyszyte do wolantów z czarnego jedwabnego tiulu, poddane pod wolanty na brytach tylnych i wystające na 3 c. z pod koronki. Boki i rękawy stanika do ryc. 1 pokryte są koronką, a na przodach i pleckach dany z koronki garnirunek w kształcie bretelek. Pod przody stanika do ryc. 2, podszyte atłasem i na ranwersy odwinięte dodane są części kamizelkowe z atłasu, które razem z kołnierzem stojącym, otwartym z przodu, oszyte są z brzegu aksamitką na 20 cent. długości. Do obydwóch staników dodany jest żabot fałdowany z koronki 10 cent. szerokiej, który z przodu na kamizelce zachodzi za wcięcie w pasie, a z tyłu bardzo suto sfałdowany naszyty jest na pasku kołnierzowym, sposobem wskazanym na ryc. 1. Rękawy ogarnirowane są koronką i ubrane kokardami. Na zgrabne panier z przodu i na baskinę przy pleckach potrzeba 250 cent. koronki, 28 cent. szerokiej, którą się na końce 46 cent. długie zaszywa w róg tępy, dopasowawszy deseń. Na ryc. 14 w N. 51 podany jest oddzielnie tren długi w pasek wszyty, do którego mały model kroju i miary dajemy na ryc. 27. Przez długi otwór w środku trenu widać garnirunek spódnicy, brzegi otworu ogarnirowane są koronką przyfałdowaną, na tren wywiniętą, która jeszcze poniżej otworu zachodzi na 36 cent. długości na tren, zeszyta w ząb spiczasty.

N. 3-7. Pudełeczko na szpilki. Malowanie na drzewie.

Pudełeczko przedstawione na ryc. 3 i 4 dostać można gotowe w sklepach, w których znajdują się różne przedmioty drewniane przysposobione dla osób chcących zdobić je malowaniem. Desenie na pudełeczko do malowania majolikowego, dajemy na ryc. 5—7 w naturalnej wielkości.

N. 9. Frendzla wiązana do kap, serwet i t. p.

Na modelu frendzla robiona była z włóczki angielskiej, lecz można ją także robić z włóczki berlińskiej lub z grubej bawełny. Na każdy promień frendzli potrzeba 6 nitek 27 cent. długich, które w odstępie 2 cent. przyrabia się do serwety, składa równo we dwoje i wiąże, dalej dzieli promienie i wiąże sposobem wskazanym na próbce. Nagłówek i dopełnienie frendzli stanowią kulki z włóczki, których robota dawno jest znaną naszym czytelniczkom.

N. 10. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Pod przezroczystą sukienkę, zrobioną ze wstawek koronkowych nicianych i ze wstawek haftowanych, podwłóczy się sukienkę muślinową białą lub kolorową, zakończoną obrębem oszytym koronką. W staniku 28 cent. długim, z tyłu na kryte haftki zapiętym, dawane są naprzemian wstawki haftowane 4 cent. i koronkowe 3 cent. szerokie; spódniczkę muślinową 15 cent. długą, oszytą koronką 5 c. szeroką, pokrywają dwa wolanty haftowane 12 cent. szerokie, zachodzące jeden na drugi, z których górny zakończony nagłówkiem 1 cent. szerokim. Wykrój górny oszyty falbanką haftowaną 6 cent. i koronką 2 c. szeroką; krótkie rękawki muślinowe albo ze wstawki, oszyte koronką. Szarfa ze wstążki kolorowej 7 c. szerokiej, przepięta 12 cent. długiemi patkami ze wstawki haftowanej.

N. 12—15. Kołdra. Robota szydełkowa i haft krzyżowy. Materyał: Bawełna 8 nitkowa niebielona, jakiej używa się do roboty spódnic, takaż bawełna ponsowa i niebieska.

Na modelu kołdry mającej 220 cent. długości a 197 cent. szerokości, oprócz koronki 10 cent. szerokiej dawane były naprzemian pasy robione ściegiem tunetańskim, ozdobione z brzegów muszkami a na środku wyszyte ściegiem krzyżowym, z pasami robionemi ściegiem plisowanym. Pasy tunetańskie zaczyna się na o. 37, z których z obydwóch brzegów zostawia się po 5 o. na szlaczek w muszki odstające, na które przy obrabianiu łańcuszkiem daje się co drugie o. 3 o. pow. Muszki mijają się ze sobą sposobem wskazanym na ryc. 15, na której dajemy część pasa z dokładną próbką roboty. Deseń do wyszycia ściegiem krzyżowym, kolorem ponsowym i niebieskim, dajemy na ryc. 14. Pasy plisowane zaczyna się także na o. 37 i robi tam i napowrót zawsze biorąc w spodnią nitkę oczek poprzedzającego rzędu. W pierwszem obrobieniu wziąć w pierwsze o. 3 o. śc., * w 3 następne 3 o. śc., na wgłębieniu zęba 2 o. opuścić w 3 o. następne 3 o. śc., na czubku zęba 3 o. śc.; powtarzać 3 razy od gwiazdki. Następne rzędy robić jak 1-szy, zaczynając 1 o. pow., a 1-sze i ostatnie o. rzędu opuścić nieprzerobione. Przy przyrabianiu koronki do poprzecznych brzegów kołdry, trzeba zawsze na wcięciu zębów 1 o. opu-



N. 5. Malowanie na drzewie (czwarta część deseniu na wieczko) do ryc. 3.

szczać, ażeby koronka leżała gładko. Koronkę podaną w połowie naturalnej szerokości na ryc. 12, robi się także poprzecznie, rzędami skośnie idącemi, ściegiem tunetańskim słupkowym. W rzędach idących od ręki prawej do lewej, słupki przerabiane są tylko do połowy i zatrzymane na szydełku, a wykończane dopiero w rzędzie powrotnym. Rząd pierwszy, idący do lewej ręki, *, 5 sł. przedzielanych nitką zarzuconą na szydełko, 1-szy sł. w 6-te o. od końca łańcuszka, następne brane co drugie o.; 6 sł. nieprzedzielanych w 6 następnych o. łańcuszka, którego 2 o. końcowe przerabia się 1 o. śc. razem z ostatnim sł., wszystkie dalsze sł. i zarzucone na szydełko nitki przerobić każde 1 o. W 2 naprzód idącym rzędzie 2 o. pow., 4 sł. przedzielane nitką zarzucone na szydełko, brane w sł. poprzedzającego rzędu, 6 sł. nieprzedzielanych; przerobić jak rząd poprzedni, zrabiając tak w tym jak i w dwóch następnych rzędach do



N. 7. Malowanie na drzewie (ścianka boczna) do ryc. 3.

ręki lewej, ostatni słupek razem z 2 o. łańcuszka początkowego. W trzecim rzędzie 3 słupki przedzielane i 6 nieprzedzielanych; w czwartym rzędzie 2 sł. przedzielane i 6 nieprzedzielanych. Powtarzać od *, dając na początku każdego rzędu słupków 2 o. pow. Jak to widzimy na próbce, łańcuszek początkowy stanowi w dalszym ciągu zaczęcie i zakończenie kwadratów brzeżnych, więc trzeba go zrobić długi, a jak zbraknie dorobić w dalszym ciągu. Na kwadratach tworzących zęby koronki wyszyte są gwiazdki naprzemian niebieskie i ponsowe, a kwaściki dawane naprzemian z białej i ponsowej bawełny.

N. 16-17 i r. 16 i 26 w N. 51. Suknia ze stanikiem bluzkowym.

Widoczną z pod draperyi część spódnicy podszewkowej pokrywa lekko nadmarszczony plusz szmaragdowego koloru. Ryc. 16—17 i 16 w N. 51 przedstawia z boku, z przodu i z tyłu stanik i draperyę do jednej sukni, daną z cheviotu gładkiego, do drugiej z cheviotu zielonawo bronzowego w paski. Draperyę upina się z bryta



N. 3. Kasetka na szpilki. Patrz ryc. 5—7.



N. 6. Malowanie na drzewie (ścianka poprzeczna) do ryc. 3.

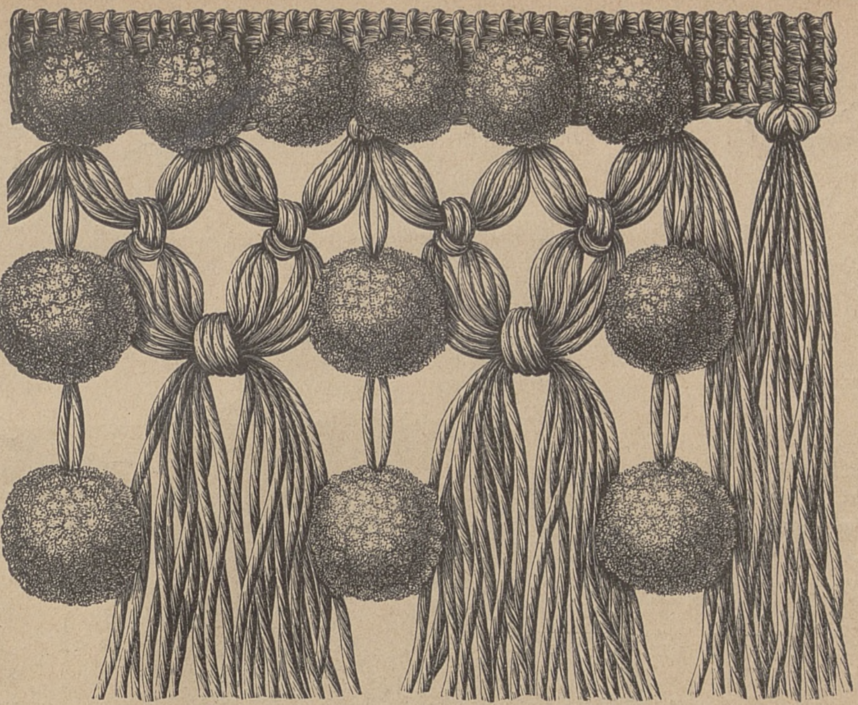


N. 4. Kasetka otwarta. Patrz ryc. 3—7.



N. 8. Czwarta część haftu do ryc. 30 w N. 51.

110 cent. szerokiego a 375 długiego, dopełnionego z tyłu kawałkiem pluszu 40 cent. szerokim a 170 długim. Lewy poprzeczny brzeg draperyi związuje się w węzeł widoczny na ryc. 16 i przyszywa na spódnicy z boku, poniżej wszycia w pasek; brzeg górny na 160 cent. długości spuszcza się luźno, dalej ściśle fałduje, pozostawiwszy 60 cent. z brzegu, które trochę naddając wszywa się z przo-



N. 9. Frendzla robotą wiązaną do serwet i t. p.

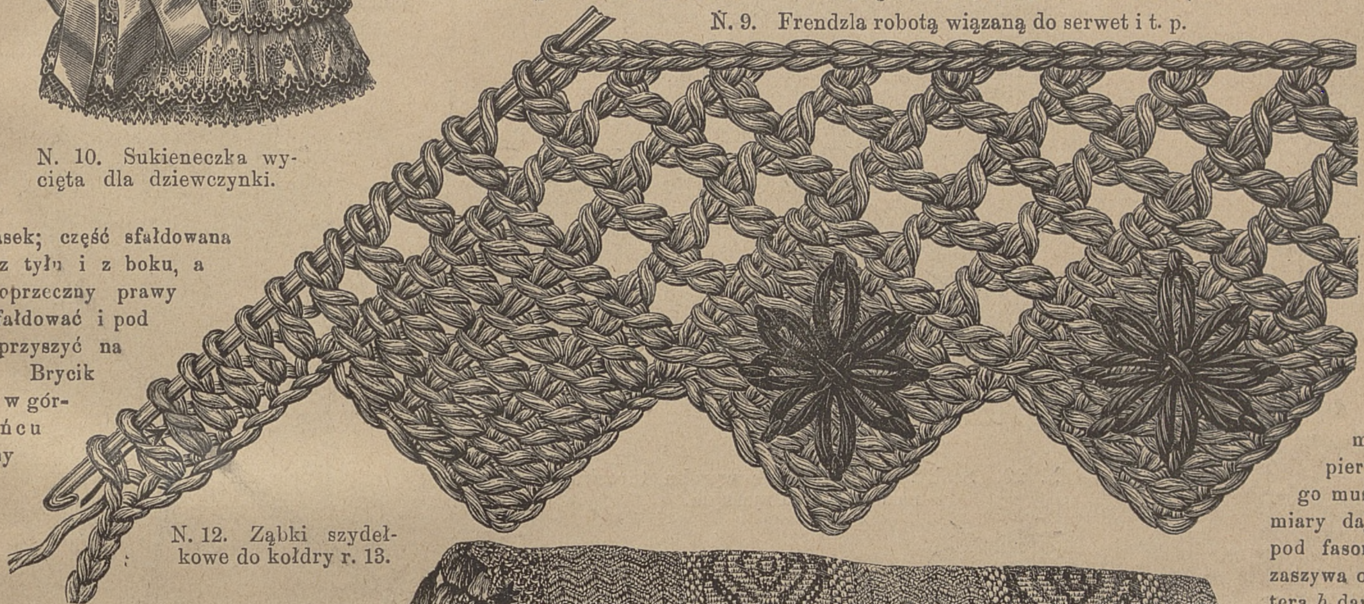


N. 10. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki.



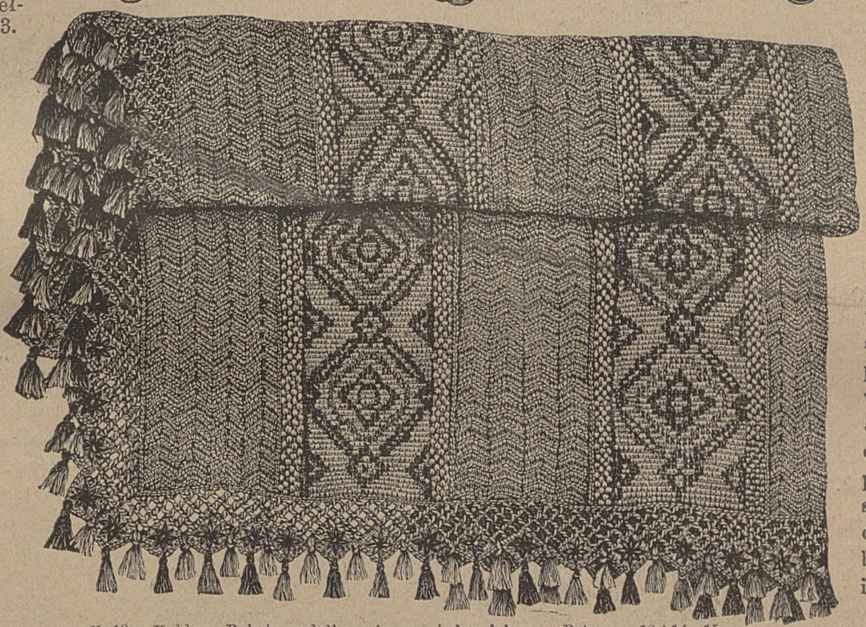
N. 11. Pelerynka z kapturkiem. Patrz ryc. 10 i 52 w N. 51.

du w pasek; część sfałdowana wypada z tyłu i z boku, a brzeg poprzeczny prawy trzeba sfałdować i pod węzłem przyszyć na spódnicy. Brycik pluszowy w górnym końcu sfałdowany

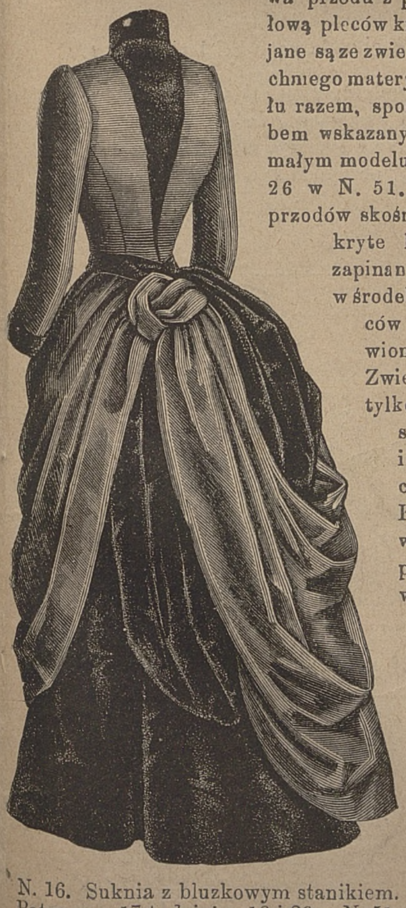


N. 12. Ząbki szydełkowe do kołdry r. 13.

przyszywa się przy węźle do paska, w środku przefałdowany przyczepia się na spódnicy, dalej przeprowadza się pod draperyą w górę, a drugi koniec fałduje się i przyszywa pod węzłem, w sposób wskazany na ryc. 16 w N. 51. Pod niezwykły fason bluzkowego stanika daje się gładką podszewkę, a połowa przodu z połową pleców krajane są ze zwierzchniego materyału razem, sposobem wskazanym na małym modelu, ryc. 26 w N. 51. Do przodów skośnie na kryte haftki zapinanych i w środek pleców wstawione są części pluszowe. Zwierzchni materyał przodów tylko na bocznych szwach zeszyty, jest zupełnie luźny i tylko u dołu pod pasek cokolwiek nadmarszczony. Kołnierzyk stojący 4 cent. wysoki, mankiety 6 cent. i pasek 5 szeroki, z tyłu bawetowo zaszyty, są pluszowe.



N. 13. Kołdra. Robota szydełkowa i wyszycie krzyżykowe. Patrz ryc. 12 i 14—15.

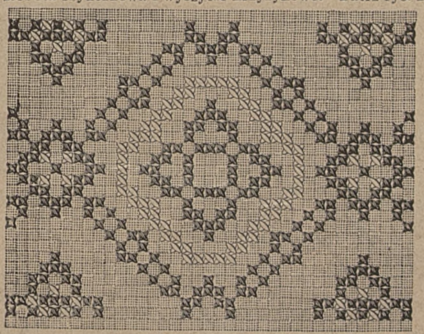


N. 16. Suknia z bluzkowym stanikiem. Patrz ryc. 17 tudzież r. 16 i 26 w N. 51.

N. 18—19 i 24—25.

Kokardy do ubrania głowy lub do sukien.

Pomiędzy kwiaty i pióra do ubrania głowy, kapeluszy lub strojnych sukien, coraz więcej domięszane bywają pukle i końce z rozmaitego rodzaju wązkich wstążek, a nawet różnokolorowe wstążki gładkie, drukowane, przerabiane lub haftowane, atłasowe, repsowe, ottoman, aksamitne, morowe i grenadynowe, coraz bardziej zastępują kwiaty i pióra. Na sute, fantazyjnie upięte kokardy mięszane bywają różne kolory i rodzaje wstążek, jak to opisaliśmy przy ryc. 17 w N. 48, a dziś podajemy takie kokardy na ryc. 18—19 i 25.



N. 14. Deseń wyszycia krzyżykami do ryc. 13.



N. 15. Pas robotą szydełkową do ryc. 13.

N. 22. Kapotka dla osoby niemłodej. Model kroju na ryc. 29 w N. 51.

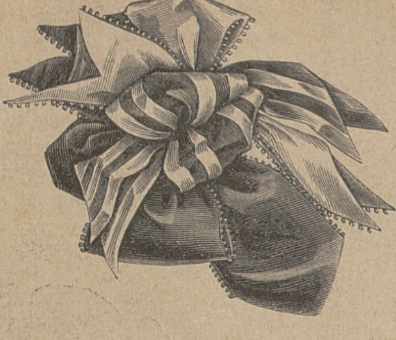
Kapotka odrobiona była z tęgiej materyi faille bez podszewki. Najpierw trzeba zrobić fasonik ze sztywnego muślinu, do którego połowę modelu i miary dajemy na ryc. 29 w N. 51, litera *a*; pod fasonik daje się fularową podszewkę i zaszywa oznaczone na modelu fałdki. Pod literą *b* dany jest model kroju połowy zwierzchniego materyału, którego prosty brzeg dolny i brzegi boczne oszyte są koronką 7 cent. szeroką. Brzeg przedni skośny pozostawia się gładko od 1 do 37, dalej środek sfałdować podług krzyżyków i punktów i przyszyć do foremki od gwiazdki do gwiazdki. W miejscach oznaczonych na *b* cienką linijką marszczy się materyę do 5 cent. szerokości i przyszywa się wstążki atłasowe 5 cent. szerokie, do wiązania kapotki. Część sfałdowaną przyczepia się do brzegu foremki i podnosi trochę w górę. Nad czołem dany suty garnirunek z 2 metrów koronki, ozdobiony ciemno żółtemi różami i kokardą.



N. 17. Suknia z bluzkowym stanikiem. Patrz ryc. 16.

N. 23. Koszyczek do robót, ozdobiony szlakiem haftowanym. Deseń haftu na ryc. 25 w N. 51.

Koszyczek pleciony z mocnej złoconej trzciny miał 14 cent. wysokości, 27 cent. górnej długości a 9 cent. głębokości. Brzeg 8 cent. szeroko wywinięty, pokryty był pluszem oliwkowym; w dno dana była jedwabna, trochę przymarszczona podszewka, a boki wewnętrzne pokrywał szlak hafto-



N. 18. Kokarda z różnorodnych wstążek.

wany 3 nitkową kolorową filozelą, na szaro żółtawej, złotem przerabianej płóciennej kanwie. Gałązki i kontury robione były kolorem zielono oliwkowym i bordo, a kwiaty kolorem niebieskim i blado lila. Przyszycie haftu przykrywa sznur jedwabny.



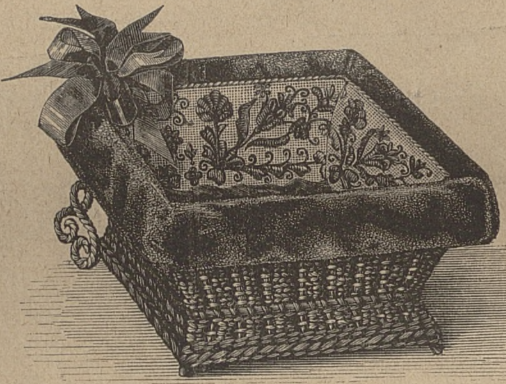
N. 20. Szalik. Naśladowanie wyrobu tureckiego na warstaciku ręcznym.



N: 19. Kokarda z wstążki odmiennej na dwie strony.



N. 21. Kapotka z marszczonego aksamitu. Opis w N. 51.



N. 23. Kosz do robót.



N. 22. Kapotka dla starszej osoby.

Opis do N-ru 51.

N. 1. Kapotka dla dziewczynki lat 8—10.

Denko ułożone z żółtawo białej materyi ottoman, podłożonej sztywnym muślinem, haftowanej w gwiazdki włóczką angielską; rondko z podwójnie wziętego sztywnego muślinu, oszyte z brzegu drucikiem, liczy 80 cent. długości, 12 cent. w środku, po 7 w końcach szerokości. Podług ryc. 1 układa się rondko w głębokie kontrafałdy i oszywa z brzegu puszkiem jedwabnym. Wstążka atłasowa 4 i 6 cent. szeroka z brzeżkiem w ząbeczki użyta na kokardę i końce.

N. 2. Czapeczka dla chłopca lat 6—8.

Uszyta z granatowego sukna, ma pasek pokryty 3 cent. szeroką złotą pletnią, przyszytą ponsowym łańcuszkiem; z przodu wyhaftowana rozeta srebrem i złotem.

N. 3. Berecik dla panienki lat 10—12.

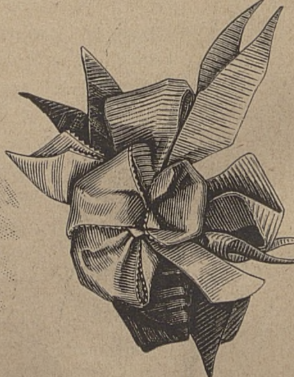
Denko z bronzowego pluszu na atłasowej podszewce fałduje się wokoło brzegów i wszywa w pasek 5 cent. szeroki, pokryty plumażem. Przybranie stanowią 2 kokardy z wstążki ottoman 6 cent. szerokiej, przypięte świecącemi skrzydełkami.

(*D. n.*)

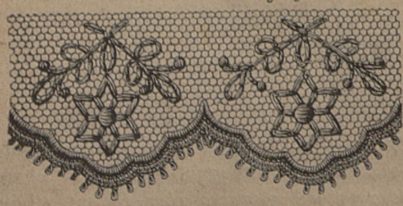


N. 24. Kokarda z piór, wstążki i egretki świecącej.



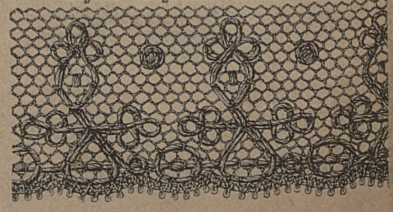


N. 25. Kokarda z rozmaitych wstążek.



N. 28. Koroneczka.

N. 26. Uczesanie dla mężatki. N. 27. Uczesanie dla młodej osoby.



N. 29. Koroneczka.